Rok 1935. **31 marca.** **Nr. 14.**

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.

Ofiara Reniusi.

Reniusia ściska w dłoni monetę, a oczy promienieją jej radościa. Dobra, kochana babcia! Darem swym przyczyniła się do urzeczywistnienia marzenia dziewczynki. O, ten upragniony zegarek! Teraz go dostanie, dostanie napewno!

Reniusia nie myślała nigdy, że nastąpi to w tak niedługim czasie. Zbierane na kupno zegarka oszczędności dalekie jeszcze były od potrzebnej kwoty, i gdyby nie hojność babci, długoby przyszło czekać. Ale teraz, skoro otrzymane przed chwilą pieniądze tak bardzo zasiliły kasę dziewczynki...

— W tych dniach rodzice mają jechać do miasta. Przywiozą, przywiozą zegarek! — skacze Reniusia z radości po pokoju. — Zaraz... — w namyśle przystanęła na chwilę. — A gdyby tak i ona pojechać mogła i sama załatwiła sprawunek? To byłoby cudownie! Trzeba zaraz poprosić rodziców, aby ją z sobą zabrali.

Niestety odwiedziny ks. proboszcza udaremniły zamiar dziewczynki. W obecności gościa rozmowę z rodzicami należało odłożyć na później.

Proboszcz opowiadał z zapałem o prowadzonych pod jego kierunkiem pracach odnowienia starego, miejscowego kościoła.

— Funduszów mi tylko brak — narzekał staruszek. — Ofiary płyną tak wolno. Pewnie... wieś uboga, wymagać nie sposób. Przyjdzie więc może przerwać roboty. Bóg jeden wie, czy doczekam ukończenia dzieła; stary jestem... A takbym rad, tak rad z całego serca...

Troska i smutek pochyliły, szlachetną posrebrzoną siwizną głowę, osnuwając też cieniem głębokiego zamyślenia promienną przed chwilą twarzyczkę siedzącej naprzeciw dziewczynki.

— —

Zmierzch zapadł. Reniusia siedziała cichutko z główką złożoną na kolanach babci. Cisza panowała wokoło.

— Reniuś, ciebie coś gnębi, dziecino...

— Bo ja sobie tak myślę, babciu, że zegarek nie jest mi przecież koniecznie potrzebny. Lepiej te pieniądze oddać na budowę kościoła.

Gorącym uściskiem przytuliła staruszka dziewczynkę do siebie.

— I ja chciałabym, babciu, złożyć ofiarę...

— Bardzo mnie cieszy ten zamiar, Reniusiu. Obawiam się jednak, że jest to chwilowy zapał pod wrażeniem słow księdza proboszcza. Namyśl się jeszcze.

— Jeżeli babcia tak uważa...

Reniusia nie mówiła o tem więcej i tak minęło dni kilka. Zdawało się, że chęć posiadania zegarka przemogła w postanowieniu dziewczynki. Było jednak inaczej...

Pewnego razu podbiegła Reniusia do służącej wybierającej się na wieś za jakimś interesem.

— Będziesz szła koło plebanji, Agniesiu, prawda? — rzekła, wsuwając jej pieniądze do ręki. — Zanieść to, proszę, księdzu proboszczowi. Powiedz, że to na kościół.

— Poczekaj, Reniu...

— Co, mamusiu? — zwróciła się dziewczynka do wchodzącej z drugiego pokoju matki.

— Możesz przecież sama wręczyć te pieniądze księdzu proboszczowi.

— Ach, nie, mamusiu! Poco kto ma wiedzieć, że to odemnie. Panu Bogu mój czyn będzie wiadomy, to mi wystarczy. Agniesiu! nie mów tylko, od kogo są te pieniądze, pamiętaj!

Po wyjściu służącej dziewczynka rzuciła się matce na szyję.

— Mamusiu! Jestem teraz bardzo szczęśliwa!

Marja Romerówna



Ledwo się z jajek wylęgły,
Ledwo sobie głośniej gęgły
I po raz pierwszy od mamy
Z podwórka poszły za bramy —

Już lis zwietrzył smaczne kąski:
Na śniadanie złowi gąski,
Kaczątko schrupie na wety,
Na drób zawsze ma ochotę.

Krzyczcie, dzieci: Gwałtu, rety!
By spłoszyć lisa niecnotę,
Co gąski wykraść chce złote.

W schronisku św. Bernarda.

(Dokończenie)

Skończywszy, wskazał zakonnik ręką przez okno na długi, kryty most łączący dwa domy. Jest on zawieszony na wysokości piętra i przez calutką zimę zasypuje go ciągle narastający śnieg. W takiem istnem morzu śnieżnem, odcięci zupełnie od świata i ludzi, przeżywają pełni poświęcenia mnisi dni swego żywota. Wszystko to jednak trwa już wieki całe, zmieniły się tylko w najnowszych czasach sposoby ratowania ludzi.

Wzdłuż całej drogi, przechodzącej Alpy napoprzek, stoją obecnie gęsto wysokie, murowane słupy, w których umieszczone są telefony, oznaczone numerami. Zapomocą tych telefonów każdy, kto tylko znajdzie się na drodze w niebezpieczeństwie, może wezwać pomocy z najbliższego schroniska. Zresztą, o każdym wogóle przechodniu, mijającym jedno ze schronisk, telefonuje się zaraz do następnego i w ten sposób ułatwia się poszukiwanie w razie zaginięcia.

Jedynie lawiny pozostają nadal dla wszystkich niebezpieczne i przeciw nim niema innego środka ratunku, jak tylko psy z góry św. Bernarda, odznaczające się niesłychanym węchem.

Wizyta przeciągała się, aż podróżniczka wstrząsnęła się cała od zimna, jakie ją przejęło. Uśmiechnął się na to zakonnik i objaśnił, że jest to naj-

cieplejszy pokój w całym klasztorze... Można więc sobie wyobrazić, jakie zimno panuje w innych częściach budynku, co zresztą dziwić nie powinno, gdy się zważy, że na tych wysokościach górskich istnieje już temperatura prawie takasama, jak w pobliżu biegunów.

Do tej strasznej, trzy czwarte roku trwającej zimy, zaczynają się zakonnicy przygotowywać zaraz po stajaniu śniegów, gdy droga jest już jako tako możliwa. Dzieje się to zwykle dopiero pod koniec czerwca. Zwozi się wtedy masowo węgiel, wieśniacy z dolin dostarczają żywności wszelakiej, windując ją w górę na mułach. Trzeba się z tem wszystkiem śpieszyć, gdyż od października znowu zasypany zostaje klasztor śniegiem i odcięty od wszelkiego dowozu. Nic już wtedy nie ocaliłoby mnichów od śmierci głodowej. Ze świeżych pokarmów pozostaje im wówczas już tylko trochę mleka, ale krowy źle się tam trzymają, często chorują, mało się doją i trzeba je co roku zmieniać.

Pod koniec swej bytności zapragnęła wreszcie p. Romocka zobaczyć słynne na cały świat psy bernardy. Wyprowadził ją ksiądz długim korytarzem na podwórze. Odrazu rozległo się przeraźliwe wycie i szczekanie. Za ogrodzeniem z siatki drucianej spojrzało na nieznajomą całe stado biało-żółtych psów. Krótka, ostra ich sierść, oczy krwią zabiegłe i białe kły w rozwartych dyszących paszczach. Podróżniczka chciała się zbliżyć, by je sfotografować, lecz powstrzymał ją ksiądz okrzykiem przerażenia:

— Niech pani tam nie wchodzi. Są bardzo niebezpieczne. A dziś są może jeszcze bardziej zdenerwowane, bo im gorąco. (Był to bowiem dzień słoneczny).

Panią Romocką mocno to zdziwiło, gdyż uważała dotychczas bernardy za psy bardzo łagodne i przyjacielskie. Więc jej ksiądz wyjaśnił, że owe psy, jakie często spotyka się u ludzi po miastach europejskich pod nazwą bernardów, nie są czystej rasy, lecz mieszanej z nowofundlandami. Tymczasem te, które właśnie patrzą na nią tak groźnie, są najczystszej rasy bernardami, z pokolenia w pokolenie hodowanemi przez zakonników alpejskich.

— Zachowały one wszystkie zalety swoich przodków — kończył zakonnik — są nadzwyczaj wytrzymałe, silne, posiadają niepospolity węch, a przytem nie wymagają większych wygód. To też hodujemy je bardzo troskliwie, wysprzedając tylko szczenięta słabsze, a dla siebie zatrzymując okazy najwspanialsze.

W tej chwili dał się słyszeć sygnał trąbki na znak, że za chwilę ucieknie w dalekie doliny ostatni autobus, łączący górską pustelnię ze światem. Jeszcze raz ogarnęła podróżniczka okiem niezapomniany przenigdy widok, zamknięty wśród zimnych szczytów górskich klasztor, poza którym tam w dole zostało wszystko, co ukochał świat i ludzie. Tu panuje tylko Bóg i miłosierdzie ludzkich dusz, które się oddały dla dobra bliźnich.

Jemioła.

Poprzez długie miesiące zimy, z dodatkiem końca jesieni i początku wiosny, darmo szukać u nas po drzewach czy krzakach zielonego listka. Jedynie w domach zielenieją hodowane tam rośliny doniczkowe, albo po kosztownych cieplarniach, gdzie nie czuje się różnicy między latem a zimą. Pozatem wszędzie, tak w lasach i ogrodach, jak po drogach i polach, czy miejskich ulicach, pomijając drzewa iglaste, które nie tracą na zimę swych szpilek, panuje pustka i nagość.

A przecież wśród tej nagości bezlistnej rzuca się niekiedy w oczy kępa zielonego listowia: to kuliste, przypominające swym kształtem duże gniazda ptasie, krzaki jemioły.

Roślina ta jednak nie byłaby zdolna do przeżycia zimy, ani wogóle do samoistnego życia, gdyby nie udzielały jej gościny wśród własnych gałęzi drzewa takie, jak sosna, brzoza, topola a nawet jabłoń. Jemioła bowiem żywi się ich sokami, zapuszczając pod ich korę swoje korzenie z licznemi ssawkami. Mączkę zaś, którą wytwarza podobnie jak inne rośliny, fabrykuje już sama w swych częściach zielonych. Dla tego właśnie sposobu życia kosztem cudzym zalicza się jemiołę do pasorzytów.

Liście ma jasno - zielone, skórkowe, wyrastające zawsze po dwa naprzeciw siebie. Kwitnie już teraz w marcu i w kwietniu drobnemi kwiatkami wydającemi woń i sok, które zwabiają owady. Z kwiatów tych tworzą się potem owoce dojrzewające zimą, w postaci jagód złotawych, każde z jednem wewnątrz nasionkiem.

Jagody te są ulubionym pokarmem wielu ptaków, które oskubując miąższ, rozwlekają w różny sposób nasiona jemioły. I tak n. p. czyszcząc dziób o gałęzie drzew, może ptak zostawić na nich lepkie nasionka; połknięte zaś przez niego nasienie nie ulega w żołądku strawieniu, lecz wydalone nazewnątrz, może również na gałęzi wykiełkować. Korzonek bowiem przebija korę i rozgałęzia sie pod nią, wypuszczając zaraz liczne ssawki. Jeżeli jednak nasienie upadnie na ziemię i nawet zakiełkuje, to roślina wkrótce zginie, gdyż jako pasorzyt nie może wyżywić się sama.

Z jagód jemioły wyrabia się lep na ptaki i muchy. Zaś jej jasne korale, prześwietlające jakby promieniami, gładkie, pięknie utoczone, mogą służyć w porze zimowej za prawdziwą ozdobę pokoju.



W PODRÓŻ DO SZKOŁY.

Mały murzyn z wikarjatu apostolskiego w Afryce Południowej w Windhoek opuszcza wioskę, udając się do szkoły utrzymywanej przez misjonarzy.

Dalszy ciąg opowieści p. t. „TAJEMNICE WYSPY KAUCZUKOWEJ” w numerze następnym.